

# MIĘDZY PRODUKCJĄ NAUKOWĄ A KRYTYKĄ SPOŁECZNĄ CZYLI JAK DZIŚ UPRAWIAĆ NAUKI SPOŁECZNE<sup>1</sup>. ROZMOWA Z ELIZABETH DUNN<sup>2</sup>

Aleksandra Leyk

Aleksandra Leyk: *Na czym polega według Ciebie uprawianie nauk społecznych?*

Elizabeth Dunn: Przede wszystkim jest zasadnicza różnica między tym, jak jest, a jak być powinno. Innymi słowy, między tym, jak nauki społeczne zostały utowarowione i wprzęgnięte w mechanizmy ekonomiczne, a tym, jak powinny być uprawiane. Patrząc z perspektywy amerykańskiej – niegdyś uniwersytet zapewniał nam bezpieczne miejsce poza systemem kapitalistycznym, z którego to miejsca mogliśmy rozwijać krytykę kapitalizmu i zastanawiać się nad alternatywnymi sposobami życia. Pojawił się jednak opór wobec tej akademickiej kontestacji. Najpierw opór polityczny w formule wojny kulturowej, kiedy to konserwatyści krytykowali intelektualistów, a szczególnie naukowców i badaczy społecznych, jako liberalów (w amerykańskim znaczeniu tego słowa) i jako relikty marksizmu. Ale konserwatyści, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i USA, najwyraźniej szybko sobie uświadomili,

<sup>1</sup> Wywiad przeprowadzony 31 stycznia 2013 w Ratyzbonie przy okazji warsztatu naukowego „Studying Labor in and after State Socialism” zorganizowanego przez Instytut Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Wiedeńskiego oraz Instytut Studiów Wschodnio- i Środkowoeuropejskich w Ratyzbonie.

<sup>2</sup> Elizabeth Dunn, profesor antropologii na University of Colorado w Boulder, autorka książki *Prywatyzując Polskę* (Cornell University Press 2004, Wydawnictwo Krytyki Politycznej 2008), opisującej transformację z perspektywy pracowników fabryki Alima Gerber w Rzeszowie, w której badaczka spędziła prawie dwa lata. W ostatnich latach zajmowała się między innymi politykami żywieniowymi. Badania na ten temat miała prowadzić w Gruzji w ramach grantu Fundacji Fulbrighta, ale wybuch wojny w Osetii Południowej w 2008 zmienił jej plany. Elizabeth Dunn, spędzając wiele czasu w obozie dla uchodźców, zaczęła eksplorować związki między pomocą humanitarną, samoorganizacją uchodźców i odbudową państwa po wojnie (zob. Dunn Elizabeth, *The Chaos of Humanitarian Aid: Adhocracy in the Republic of Georgia*, „Humanity”, 2012, nr 1).

że przeciwstawianie akademickiemu dyskursowi lewicowemu dyskursu prawnicowego nie jest najlepszą drogą do sukcesu. Wtedy sięgnęli po inną strategię, która polegała po prostu na zabraniu nam pieniędzy. Wycofano fundusze i wprowadzono rodzaj biznesowej logiki na uniwersytecie. Mimo że wielu z nas to się nie podobało, to zrobiliśmy za mało, żeby się tym zmianom przeciwstawić. Tymczasem nasze możliwości do działania jako autorefleksyjnych krytyków systemu kapitalistycznego zostały ograniczone.

*AL: Na czym polega ta biznesowa logika w praktyce?*

ED: Chociażby na tym, że obecnie rektorami uniwersytetów często zostają osoby niebędące naukowcami, niemające tytułów akademickich. Są zatrudniane na tym stanowisku tylko dlatego, że są ludźmi biznesu. I ci biznesowi rektorzy komunikują nam, że powinniśmy działać (głównie uczyć studentów) bardziej wydajnie i zapewniać większe zyski. To powoduje ogromne zmiany, na przykład w pracy ze studentami. Liczba studentów, którymi się zajmuję, zwiększyła się ze 100 do 485 osób! W związku z tym mam też dziesięciu asystentów i dodatkowego, którego zadaniem jest zarządzanie pozostałymi. W efekcie w ramach prowadzonych przeze mnie zajęć panuje hierarchia niczym w przedsiębiorstwie przemysłowym. A teraz grupy będą jeszcze większe w wyniku pojawienia się masowych otwartych kursów internetowych.

Logika wydajności powoduje, że my już nie kształcimy studentów. My ich certyfikujemy. Wartość komercyjna kształcenia nie leży w wiedzy i umiejętnościach zdobytych przez studentów, ale w nadanych tytułach. Kierując się tą biznesową logiką, można by zapytać, czemu nie zagwarantować certyfikacji po najniższych możliwych kosztach, nawet jeśli oznaczałoby to, że studenci nauczą się mniej lub wręcz niczego się nie nauczą?

*AL: Odejdźcie od kształcenia studentów na rzecz masowego certyfikowania. Co jeszcze?*

ED: Logika biznesowa przejawia się oczywiście w zasadach finansowania uczelni. Fundusze publiczne przestały stanowić źródło utrzymania uniwersytetów, a niektóre z amerykańskich uczelni nie otrzymują ich wcale. Udział dotacji stanowych nie przekracza czterech procent budżetu Uniwersytetu Kolorado. Niezmiernie ważnym źródłem finansowania stają się granty. System przekształca zespoły naukowe w jednostki wytwarzające zyski [*profit centres*]. Pracownicy na moim wydziale regularnie pozyskują środki w wysokości kilkuset tysięcy, a nawet milionów dolarów rocznie w grantach. Uniwersytet potraça sobie ponad pięćdziesiąt procent tych kwot. To się staje główną pozycją jego przychodów.

*AL: Jak ta logika rzutuje na pracę i pozycję naukowców?*

ED: Jako osoby, których praca polega na wytwarzaniu zysku, naukowcy i badacze społeczni nie mają już przestrzeni, w której mogliby funkcjonować jako myślący krytycy szerszego systemu. Szybko stają się zakontraktowanymi dostawcami danych dla wielkich agencji rządowych albo wchłania ich biznes. W Stanach jest normalne, że szkoły biznesu, rolnictwa i przemysłu działają jako przybudówki przemysłu. Na jednym z naszych uniwersytetów rolniczych niektórzy pracownicy wydziału technologii mięsa regularnie używają słowa „my” w odniesieniu do przemysłu produkcji wołowiny. Postrzegają siebie jako jego część, są świadomi, że są jego częścią. Nie identyfikują się z uniwersytetem czy systemem szkolnictwa wyższego. Jesteśmy zatem albo przybudówkami przemysłu, albo rządu.

Tracimy coś naprawdę ważnego, kiedy naukowiec zajmujący się życiem społecznym przestaje być jego krytykiem. Kończą się czasy, jakie były jeszcze moim udziałem, kiedy można było spędzić dwa lata w fabryce w jakimś odległym kraju, a potem napisać książkę, w której krytykuje się naprawdę silną grupę ludzi. To jest przerażające! W jaki sposób akademicy – pozbawieni możliwości protestu w języku naukowym – mają dostarczyć intelektualną infrastrukturę dla ruchów takich jak Occupy<sup>3</sup>, które na razie nie mają swoich intelektualistów, wywodzących się z wewnątrz tych ruchów? Jeśli nie możemy krytykować logiki rynku z bezpiecznej akademickiej pozycji, to z jakiej innej pozycji możemy to robić?

*AL: Podobne procesy mają miejsce w Europie, między innymi w wyniku wdrażania procesu bolońskiego w Unii Europejskiej, ale także w związku z szerszym trendem komercjalizacji sfery publicznej.*

ED: Europejski system oceny badań doprowadził do tego, że praca na uniwersytecie jest jak praca w fabryce. Liczy się tylko sklecanie artykułów, bez znaczenia czy są mądre, czy głupie, genialne i innowacyjne, czy też nadają się tylko do śmieci i trafiają do pisma, którego i tak nikt nie czyta. Liczy się tylko ich liczba. Europejska akademia zmierza w kierunku masowej produkcji, z jaką mamy do czynienia w Stanach Zjednoczonych. A my – akademicy – nie przeciwstawiliśmy się temu w sposób wystarczający.

---

<sup>3</sup> The Occupy Movement – międzynarodowy ruch protestu czy też wspólna identyfikacja, do której odwoływały się różne, także spontanicznie powstające ruchy na fali kryzysu finansowego i bankowego oraz pogarszającej się sytuacji gospodarczej. Nazwa wzięła się od hasła „Occupy Wall Street”, pod którym zorganizowano strajki w parku Zuccotti w Nowym Jorku 17 września 2011. Jako inspirację ruchu wskazuje się protesty w Hiszpanii i Portugalii oraz arabską wiosnę. Trudno przypisać zarówno ruchowi, jak i samym protestom, jeden cel, stałym jednak motywem jest sprzeciw wobec nierówności społecznych i słabości demokracji, za którą winiono między innymi nadmierną władzę korporacji i globalnego systemu finansowego.

AL: Z tego, co mówisz, wynika, że komercjalizacja systemu uniwersyteckiego w Stanach zaszła znacznie dalej niż w Europie. Twierdzisz, że amerykański świat naukowy reagował na zachodzące zmiany za słabo albo za późno. Czy z tej perspektywy masz jakieś wskazówki, rady dla nas, Europejczyków, szczególnie młodych naukowców? Co robić, aby nie stracić możliwości uprawiania krytyki społecznej?

ED: Mam rady, a w szczególności jedną – piszcie przystępnym językiem. W amerykańskiej społeczności akademickiej, zwłaszcza w socjologii i antropologii, zwykło się wysoko cenić skomplikowany i niezrozumiały język. Im ktoś wymyślniej potrafi mówić, im trudniej go zrozumieć, im bardziej skomplikowanego słownictwa używa, tym za mądrzejszego go mają. Byłam kiedyś na rozmowie rekrutacyjnej w jednym z uniwersytetów z Ligi Bluszczowej (gdzie zresztą nie dostałam pracy), podczas której powiedziano mi, że jestem „nadmiernie przystępna” [*overly accessible*]. Czyli jak rozumiem, zbyt wielu ludzi było w stanie przeczytać i zrozumieć, co piszę. Tak się składa, że zarzut ten pojawił się w kontekście książki *Prywatyzując Polskę*. Odpowiedziałam więc, że chciałam się włączyć w dyskusję zdominowaną przez politologów i ekonomistów i że starałam się to zrobić w taki sposób, aby książka dotarła do jak najszerszego grona ludzi. Gdybym używała wyłącznie żargonu antropologicznego, mało kto mógłby ją przeczytać, a z pewnością nie zrobiliby tego ani politologowie, ani ekonomiści, a na tym mi zależało. Napisałam tę książkę w taki właśnie sposób celowo, i gdybym miała ją napisać jeszcze raz, zrobiłabym tak samo.

W pisaniu chodzi przecież o komunikatywność. A nie o to, żeby podbudować swoje ego, pokazując, jak się jest mądrym. Co ciekawe, im więcej amerykańskich akademików wycofuje się z roli aktywnych publicznie intelektualistów [*public intellectual*], tym więcej chętnych do przejścia tej funkcji spoza świata akademickiego. I okazuje się, że najciekawsze debaty publiczne prowadzone są nie przez akademików, ale przez twórców dłuższych form dziennikarskich, przez autorów literatury faktu czy książek o ideach, pisanych z myślą o szerokiej publiczności. Przecież ci ludzie wykonują naszą pracę!

A wracając do rad i wskazówek, uważam, że najważniejszą rzeczą, jaką możecie robić od zaraz, to stawiać opór temu pędowi do bycia nadmiernie niezrozumiałym i pisać prosto, nie prostacko, ale w sposób tak jasny, przejrzysty i bezpośredni, jak tylko się da. A co więcej, starajcie się pisać ładnie, bo literacka atrakcyjność tekstu zbliża ludzi do idei, które chcecie przekazać. I wszyscy powinniśmy zacząć cenić, komplementować i oceniać akademików za to, jak dobrze piszą. I za to, jak nie nudzą. Będąc niezrozumiałymi i nudnymi, zamykamy się w czterech ścianach i mówimy

tylko do siebie nawzajem. Niech mi ktoś wyjaśni, jaki jest sens rozmawiania z kolegami i koleżankami, którzy się z nami zgadzają? Ja chcę rozmawiać z ludźmi, którzy się ze mną kompletnie nie zgadzają. Albo też z ludźmi, którym mogę pomóc wyrazić i opisać ich problemy, pragnienia, marzenia w taki sposób, w jaki im trudno to zrobić.

Zatem to jest moja rada dla młodych naukowców – piszcie dobrze.

AL: *To trudne w obliczu kryteriów, wedle których oceniana jest nasza praca.*

ED: Systemy oceny pracy uniwersyteckiej oparły się w tak znaczącym stopniu na wskaźnikach ilościowych, że dziś wystarczy zachowywać formę i nie zważać na treść. To dotyczy przede wszystkim artykułów naukowych. Na moim wydziale ludzie interesują się nie tym, co publikujesz, ale czy wystarczająco dużo.

Ale nie jest zupełnie beznadziejnie. Chociaż jest presja na dostosowanie się, to akademia nadal ma pewną specyficzną cechę, a mianowicie bardzo często nagradza ludzi, którzy są radykalnie nowatorscy, którzy dostarczają nowych paradygmatów dla pola naukowego. I z tego możemy korzystać. Sądzę, że lepiej się dramatycznie mylić, ale w sposób prowokacyjny i ciekawy, niż mieć świętą rację, ale być potwornie nudnym. Nudząc, nie da się nic osiągnąć.

AL: *W toku naszej rozmowy pojawiło się wiele wątków, które składają się na obraz ideału naukowca i badacza społecznego. To człowiek krytyczny wobec panującego ładu społecznego. Jest przystępny dla ludzi. Angażuje się w wymianę myśli i ważne debaty. Wyraża problemy ludzi, których głos pozostaje nienartykułowany. I robi to wszystko w sposób komunikatywny i ciekawy. Trochę dużo. Co jest według Ciebie najważniejsze, co definiuje Twój ideał?*

ED: Najważniejsze to przyglądać się światu z boku i umieć znajdować nowe perspektywy spoza dominujących ścieżek myślenia. Zajmować się naukami społecznymi znaczy rozumieć rzeczywistość społeczną i rzucać światło na te jej aspekty, które nie są widoczne, zwłaszcza w społeczeństwie podzielonym klasowo i rasowo. Częścią naszej pracy jest wychodzenie do ludzi innych niż my i odkrywanie ich życia, wnoszenie ich perspektywy – tak jak i naszej – do oglądu systemu i do szerszej nad nim dyskusji. Na tym polega nasz mandat jako naukowców.

AL: *A czy to nie jest dopiero pierwszy krok? Czy ten mandat nie uprawnia nas, a wręcz nie zobowiązuje do podejmowania dalszych działań, począwszy od wchodzenia w dialog z szeroką publicznością, podnoszenia krytycznej świadomości ludzi, aż po wychodzenie razem z nimi na ulice?*

ED: Człowiek nauki może nawet stać się częścią rewolucji. Tak jak David Graeber<sup>4</sup>, który zaangażował się w ruch Occupy. Ale są też cichsze rewolucje i mniej widoczne zmiany, w które możemy się angażować. Możemy interweniować w sposoby zarządzania pracownikami, w polityki publiczne dotyczące bezrobocia, w sposoby myślenia o podziale pracy i o tym, jak państwowa i korporacyjna polityka powinny wspierać ludzi w ich codziennym życiu. To są istotniejsze interwencje niż obecność na barykadach. Zwłaszcza że chodzenie na barykady rzadko kiedy wywołuje długotrwałe zmiany. Jest wiele obszarów, w które możemy interweniować, wnosząc krytyczny ogłód, i to niekoniecznie z myślą o szerokim odbiorze, ale raczej skupiając się na wybranych, określonych obszarach.

AL: *To znaczy interweniować w polityki publiczne?*

ED: Tak, to także ważne, ale mam również na myśli szeroko rozumianą kulturę. Na przykład przez działania na rzecz przewartościowania pracy, aby umiejętności i wiedza ludzi pracujących, szczególnie z klas niższych, były postrzegane jako wartościowe i ważne.

Natomiast trzeba bardzo uważnie wybierać ten obszar, w który chcemy wkraczać. Łatwo dać się kupić przemysłowi albo skusić na pochlebstwa, jakie czekają doradców ludzi u władzy. Sama nieraz doświadczyłam takich pochlebstw. Tym bardziej jestem przekonana, jak ważne jest, aby powiedzieć sobie, jakie są twoje wartości, wobec czego i kogo czujesz się zobowiązany, i te zobowiązania realizować. Ja zawsze staram się stawać po stronie zwykłego człowieka. To jest moje moralne stanowisko.

AL: *A jak wygląda praca badawcza człowieka, który kierując się świadomie swoimi wartościami, wkracza w pewne obszary życia społecznego z dążeniem do ich zmiany?*

ED: Po pierwsze, jestem w pełni wierna metodzie badań terenowych. Nie mogę przestać się dziwić ogromnej liczbie akademików, którzy dużo teoretyzują na temat tego, jak ludzie działają, ale nigdy ich o to nie zapytają. Zwracał na to uwagę Sydney Mintz<sup>5</sup>, który pozostaje jedną z najważniejszych postaci intelektualnych w moim życiu. W jednym ze swoich artykułów

---

<sup>4</sup> David Graeber – amerykański antropolog, profesor London School of Economics, aktywista zaangażowany w ruchy anarchistyczne i antykapitalistyczne, przypisuje się mu autorstwo motta ruchu Occupy Wall Street – „we are the 99%”. Motto nawiązuje do problemu nierównej dystrybucji dobrobytu i kontroli większości majątku przez 1% społeczeństwa.

<sup>5</sup> Urodzony w 1922 amerykański profesor. Uczeń Ruth Benedict i Juliana Stewarda. Antropolog zainteresowany perspektywą historyczną i ekonomią polityczną, wieloletni badacz Karaibów i Ameryki Południowej. W wyniku zajęcia się tematyką relacji władzy w kolonializmie przez pryzmat dóbr konsumpcyjnych (przede wszystkim cukru) stał się jednym z pionierów antropologii jedzenia, z którą jest obecnie najsilniej kojarzony.



podał przykład prowadzonego w duchu studiów kulturowych badania McDonalda, którego autorzy analizowali budowę chłodni, dyskurs menu, i tak dalej, a nie porozmawiali z ludźmi, którzy tam jedli! Bo to jest to, co naprawdę ma znaczenie. Idea, że świat społeczny to tekst, który można czytać, siedząc w swoim gabinecie przy biurku, to kompletny nonsens. Trzeba wyjść do ludzi i rozmawiać z nimi o tym, jak działają, i obserwować ich, kiedy działają. Trzeba obserwować ich w procesie rozwiązywania życiowych problemów, bo właśnie w tych momentach zmagania się z problemami, konfliktami można dostrzec różnorodne sposoby negocjowania, dokonywania społecznych transakcji, z których wylania się zmiana społeczna.

AL: *Trudno zaprzeczyć, ale nie zawsze chcemy badać zmianę społeczną...*

ED: Sądzę, że badania terenowe są przydatne nawet w badaniach ilościowych. Nie jestem fanką metody sondażowej, bo myślę, że nawet statystycznie ważna odpowiedź na pytanie, które jest głupie, to wciąż tylko głupia odpowiedź. Problemem w metodologii sondażowej bywa to, że pytania nie są dostosowane do ludzi, którym się je zadaje. Piękno metody jakościowej kryje się między innymi w tym, że pozwala ona wygenerować pytania, które będą dla ludzi relewantne. Dlatego też taka właśnie praca powinna poprzedzać przygotowanie kwestionariuszy. Oczywiście, można prowadzić sondaże, aby sprawdzić powszechność czegoś, ale to także powinno następować po opracowaniu właściwych pytań w wyniku pracy terenowej. Zadawanie ludziom pytań wygenerowanych z teoretycznej literatury, pytań, które nie mają z ich perspektywy sensu, to marnotrawienie czasu wszystkich stron. To jest moje epistemologiczne stanowisko.

Problemem jest także to, czy dane, jakimi dysponujemy, pozwalają nam rozumieć zjawiska systemowo. Żyjemy w czasach *big data*, w których wszystko, co policzalne, jest postrzegane jako bardziej wartościowe niż to, co niekwantyfikowalne. Zachłyśnięcie się możliwościami *big data* może poprowadzić nas w ślepią uliczkę. Po pierwsze, trudno zweryfikować, czy podejmując jakiś temat, skierowaliśmy uwagę we właściwym kierunku. Po drugie, nie pozwalają one należycie wyjaśnić, w jaki sposób różne systemy społeczne wchodzą ze sobą w interakcję. Innymi słowy, *big data* bardzo rzadko prowadzą do systemowego rozumienia, do rozumienia interakcji między systemami, a przecież w wyniku takich interakcji, rodzi się zmiana społeczna.

AL: *Jaka jest Twoja metodologiczna dewiza?*

ED: Swoim studentom mówię, że moja metoda badawcza jest następująca: udaję się w nieznanne miejsce, spotkam obcych ludzi, jem ich jedzenie, piję ich trunki, zadaję im natrętne pytania i zapisuję ich odpowiedzi. Mówię

to pół żartem, pół serio, ale pół serio to ta większa połówka. To całkiem dobry sposób, żeby zacząć.

AL: *Mówiłaś o zwykłych ludziach. Czy jest dla Ciebie ważne, że mówisz w ich imieniu, dajesz im głos? Czy to jest dla Ciebie moralne zobowiązanie?*

ED: Nie lubię mówić, że mówię w czyimś imieniu, że daję komuś głos. Pamiętam, jak we wczesnych latach 90. pojawił się ten język i pamiętam swoją refleksję. Pracowałam wtedy z uczestnikami ruchu polskiej Solidarności, ruchu, który doprowadził do upadku komunizmu. Ci ludzie nie potrzebowali, żeby ktokolwiek za nich się wypowiadał. Oni naprawdę potrafili mówić swoim głosem. Ja nie chcę mówić za innych i nie chcę twierdzić, że to robię. Ludzie się różnią, mają różny stosunek do spraw, nawet w obrębie własnej grupy. Moja interpretacja tego, co się dzieje, zawsze pozostanie moją interpretacją. Czasami ludzie się ze mną zgadzają, a kiedy indziej nie. Według niektórych pracowników Alimy Gerber mówiłam świętą prawdę, podczas gdy dla innych byłam wierutnym kłamcą. To zależało od tego, w jakim stopniu ich myślenie wpisywało się w moje interpretacje. Dlatego też nie mogę powiedzieć, że mówię za innych. Mówię o innych, ale w swoim imieniu.

Natomiast ważne jest dla mnie, aby mówić o innych z szacunkiem i w taki sposób, który nie odbiera im godności. To oznacza, że niezależnie od pozycji społecznej człowieka zawsze należy zakładać, że ma on podmiotowość i zdolność do podejmowania decyzji, do radzenia sobie z problemami we własnym życiu i to w kreatywny sposób. Pracowałam z ofarami czystek etnicznych, pracowałam z robotnikami. Nigdy nie spotkałam człowieka, który nie miałby zdolności do refleksji nad własnym życiem i do wybierania strategii nawet w najgorszych okolicznościach i sytuacjach. Powinniśmy oddawać szacunek tej ludzkiej zdolności i uznać to, że każdy człowiek jest podmiotem społecznym, nawet jeśli wedle dominujących dyskursów jest jedynie biernym przedmiotem cudzych polityk. To jest moje fundamentalne założenie teoretyczne.

AL: *Powiedziałaś dziś, że będąc w terenie, zawsze trzeba zdecydować, jacy ludzie będą Twoimi narratorami, Twoim punktem odniesienia do rzeczywistości. Po co? Czy nie jesteśmy w stanie patrzeć z różnych punktów widzenia i zachować bezstronność?*

ED: Kiedyś naukowcy reprezentujący nauki społeczne byli przekonani, że zajmują uprzywilejowaną pozycję, że są zdolni do patrzenia, jak nazwała to Donna Haraway<sup>6</sup>, z boskiej perspektywy [*God's eye view*]. Tymczasem wszyscy filtrujemy i porządkujemy rzeczywistość, nikt nie jest w stanie objąć całości.

---

<sup>6</sup> Donna Haraway – wybitna amerykańska profesor, zajmująca się przede wszystkim teorią feminizmu i filozofią technologii i nauki. Do jej najbardziej znanych i wpływowych prac należy książka *A Cyborg Manifesto: Science, Technology, and Socialist-Feminism in the Late Twentieth Century* (1985).



Dlatego tak ważne jest zdecydować, jaką i czyją perspektywę się przyjmuje, i wybierać ten punkt obserwacyjny ostrożnie. Inny obraz wylania się z perspektywy organizacji pomocowych, inny, kiedy kontaktujemy się głównie z ministerstwem do spraw uchodźstwa, jeszcze inny, kiedy przebywamy, jak ja obecnie, w obozie dla uchodźców. Jennifer Hyndman<sup>7</sup> mówi o tym w kategoriach moralnej bliskości. Według niej zawsze trzeba określić, wobec kogo będzie się moralnie blisko. Jeśli nie wybierasz, jeśli myślisz, że nie wybierasz, to i tak wybierasz. I zazwyczaj wybierasz tych, którzy mają więcej władzy. Jednym ze sposobów zrozumienia doświadczenia jakiejś grupy ludzi jest nie tyle wypowiedzianie się w ich imieniu, ile bycie obok nich. Będąc w obozie dla uchodźców, nie jestem w stanie doświadczyć ich cierpienia. Zawsze pozostaną Amerykanką, która w każdej chwili może zdobyć bilet na samolot i wrócić do domu. Jeśli wybuchnie wojna, ambasada przyśle *marines*, żeby mnie znaleźli i wydostali. Jestem bezsprzecznie w uprzywilejowanej pozycji. Ale mogę być obok nich i towarzyszyć im, kiedy przechodzą przez proces odbudowy własnego życia. Tak samo jak mogłam towarzyszyć ludziom w trakcie zmian praktyk pracy w ich fabryce. Na tym, moim zdaniem, polega metoda nauk społecznych. Kierując się nią, wytwarzamy stroniczne punkty widzenia, ale decydujemy się to robić świadomie.

AL: *Niejedyn powiedziałby, że to uciekanie od wysiłku dążenia do obiektywizmu.*

ED: Tu nie chodzi o uciekanie od obiektywizmu, ale o świadomość własnych uwarunkowań, własnych wyborów i o to, że należy się do nich przyznawać. Już wybierając tematy, robimy to zgodnie z naszymi wartościami i moralnością, a nie z jakimikolwiek obiektywnymi kryteriami. Wszyscy dokonujemy wyborów, nawet pozytywiści – tyle że ci to zatajają. Ale pozytywizm jest tylko rodzajem epistemologii, to nie jest jedyna droga dochodzenia do prawdy. Twierdzić, że jedyną drogą do zrozumienia świata jest pozytywistyczna nauka społeczna, to tyle, co sądzić, że nie ma żadnej prawdy w religii czy literaturze, co jest oczywiście absurdalne. Najważniejsze jest, abyśmy potrafili mówić i mówili o naszych wyborach otwarcie.

AL: *Dziękuję za rozmowę.*

---

*The god's eye view, the god trick* – sformułowanie używane przez Donnę Haraway krytykujące naukowców za roszczenie sobie prawa do posiadania boskiej perspektywy oglądu rzeczywistości i wytwarzania wiedzy całkowicie obiektywnej. Zob. Haraway Donna, *Situated Knowledges: The Science Question in Feminism and the Privilege of Partial Perspective*, „Feminist Studies” 1988, nr 3, s. 575–599.

<sup>7</sup> Kanadyjska socjolożka i geografka, profesor w Centrum Studiów nad Uchodźcami w Yorku, zajmuje się głównie problematyką uchodźstwa i pomocy humanitarnej związanych z konfliktami i klęskami.